



Krystyna Janda

Zły charakter Brandauera

Szanowni Państwo!
Krećtam kiedyś taki film „Mephisto”. Było to w Budapeszcie w słynnym 1980 roku. Siedziałam tam długo, uwięziona w hotelu z moją tłumaczką, którą miała zupełnie inne sprawy na głowie między moimi zdjęciami, a one, te upragnione dni pracy, zdarzały się bardzo, bardzo rzadko. 1,2 razy w tygodniu. Sama w Budapeszcie, język całkowicie nieodgadniony, do Polski jechać nie wolno, ile można zwiędzać, szwendać się po mieście, siedzieć w kawiarniach, jeść w restauracjach w samotności?

Do tego rola córki Tomasza Manna, żony

Gründgensa – Brandauera według scenariusza nudna, konwencjonalnie potraktowana nie mająca nic wspólnego z tą samą postacią w książce.

O wątku lesbijsko-pedalskim nie ma mowy, tak chce reżyser Istvan Szabó – mówi, że niepotrzebnie odróciłoby uwagę od głównej myśli filmu. Ja wściekła, Szabó choć miły, nie ma czasu się mną zajmować. Brandauer grający Mephisto – niemiły, zarozumiały, chodzi bez skarpetek i ciągle opowiada jaka jest jego gaża w Burgtheater w Wiedniu, co tam już zagrał, co będzie jeszcze grał, a co ja gram i co jeszcze zagram w War-

szawie, i ile za to zarobię itd., itd. itd., a on gra za prawdziwe pieniądze, nie tak jak my, wynajęci aktorzy węgierscy, NRD-owscy i polscy za forinty i to niewielką liczbę.

On mówi cały czas, że gra właściwie z taski, lekceważy wszystkich, nikt nie spodziewa się, że film później zdobędzie Oscara, a dla Brandauera będzie to najważniejsza rola w życiu, ważniejsza niż wszystkie razem wzięte w Burgtheater i wszystkich filmach niemieckich i austriackich i zaprowadzi go ona do Hollywood.

W każdym razie ja go nie cierpię, a on mnie.

Z rozpaczy kupuję białe płótno, kolorowe nitki i zaczynam wyszywać makatkę, robiąc to po raz pierwszy w życiu.

Pewnego dnia ostatecznie rozgoryczona moimi zawodowymi problemami i brakiem jakiegokolwiek szansy na zrobienie dobrej roli, spotykam niespodziewanie na ulicy Marka Walczewskiego, który, też właśnie robi jakiś film w Budapeszcie.

Natychmiast zrzucam mu na głowę wszystkie żale i problemy. On w cudownym nastroju, zadowolony, opalony i wesoły odpowiada mi, że nie bardzo moje gorzkie analizy i myśli na temat naszego zawodu się potwierdzają, ponieważ właśnie dziś zagrał jedną ze scen swojego filmu (precyzyjnie skonstruowanego filmu akcji) scenę długą, dialogową i nakreślił ją bez żadnego problemu.

Uznał, że scena jest nudna, więc cały czas starał się proponować sytuacje niekonwencjonalne. Trochę się dziwił, że reżyser i ekipa patrzyli na niego czasem zdumieni, ale dzień skończył się absolutnym sukcesem, reżyser zadowolony, wszyscy szczęśliwi i dopiero w hotelu zorientował się, że on grał scenę 72, a oni krećcili 27. Ale wszystko się zgodziło. Nikt nie rozumiał co on mówi (wszyscy gramy tam po polsku), sytuacje wydawały im się pewnie dziwne, ale okazuje się, że w rezultacie nie ma to większego znaczenia.

Śmialiśmy się z tego

długo, a ja trochę mniej od tego momentu przejmowałam się niuansami mojej roli.

Co do Brandauera jednak miałam rację i całym innym opowieścią jest opis kolacji w trakcie której pobili się nasi tłumacze i my ostatecznie i definitywnie się znenawidziliśmy.

Odcięta od świata i wiadomości, pewnego dnia dołączyłam do jakiejś demonstracji na ulicy. Wśród ludzi zrozumiałam tylko tyle, że chodzi o Polskę i coś się tam dzieje.

Trwał już po prostu „Polski Sierpień”, ale przemysłna i bezlitosna produkcja skutecznie nie dopuszcza do mnie tych wiadomości, bojąc się mojego wyjazdu.

Kiedy wreszcie po spotkaniu z moją tłumaczką, która wyjaśniła mi wszystko, zażądałam natychmiastowego zwolnienia z tego „więzienia” (rezultat był taki, że sprawdzono moją mamę z córką i dalej nas przetrzymywano). Niespodziewanie dostałam zaproszenie od współczującego mi Brandauera na kolację!!! W trakcie tego wieczoru nagle zawiadomił mnie „poufnie” (on często nocował w Wiedniu), że właśnie rano jadł śniadanie z Kraiskim (ówczesnym kanclerzem Austrii),

który jest jego serdecznym przyjacielem i który powiedział mu, że Waleśa (ja też myślałam wtedy, że tak brzmi to nazwisko, tak je wszyscy wymawiali) – to agent Związku Radzieckiego, a wszystko, co dzieje się w Polsce, to sfingowana historia, manipulacja naiwną klasą robotniczą komuś do czegoś potrzebna.

Czy wyobrażają sobie Państwo jakiej dostałam furii (mimo że nie miałam żadnej kontrynformacji)?

Do dziś zastanawiam się, czy to po prostu był aż tak zły charakter Brandauera.

Pozdrawiam

Krystyna Janda

P.S. Kiedy przeczytałam to mojemu mężowi, który jest pierwszym czytelnikiem, powiedział mi, że to żaden zły charakter, tylko opowiadanie o pewnym fenomenie, jakim jest – aktor.

Zdarzają się między innymi tacy, którzy zupełnie nie mogą znieść, że ktoś obok nich robi niespodziewanie karierę i każą mi przypomnieć sobie, jak ja po obejrzeniu w telewizji mszy na Krakowskich Błoniach, podczas pierwszej wizyty naszego papieża w Polsce, zobaczywszy te tłumy westchnęłam: – ... O matko, jak ja bym chciała być papieżem...